ROK TRZECI.

№ 25.

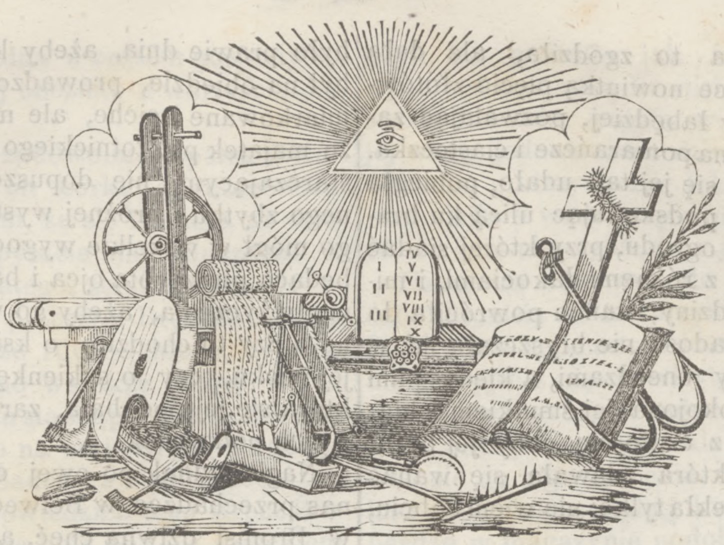
Warszawa

Dnia 8 (20) czerwca

1858.

Niedziela

4ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie, udziel nam łaski, iżby i ciek okoliczności świata w Twym porządku łagodnie dla nas był urządzony, i Twój kościół z spokojnej pobożności się radował. (Kolekta na Niedzielę czwartą po Świątkach).

Tajemnica Bronisi.

Było to przy końcu września 1854 — w parku Belwederskim kobieta w podeszłym wieku siedziała na ławce pod rozłożystym kasztanem, niedaleko kanału, po którym pływały wspaniale śnieżyste łabędzie. Trzymała ona w ręku jednę z ostatnich powieści Kraszewskiego, ulubionego swego autora, ale wzrok jej odrywał się często od książki i zwracał z zajęciem i troskliwością w stronę, gdzie się bawiła jej trzynastoletnia wnuczka, którą już lekarze opuścili, a Bóg tylko ocalił.

Pod tą baczną i czułą opieką Bronisia oddawała się zabawie z całą swobodą i wylaniem; z czołem spotniałem, okiem błyszczącem, twarzyczką zarumienioną, biegała ona z dwiema swemi rówiennicami to ponad kanałem, drażniąc się z oswojonym żórawiem, lub białemi łabędziami, i śmiała się do rozpuku, gdy te na głos jej odpływały ku brzegowi, pewne, że z jej ręki jaki posiłek dostaną, a zawiedzione w swéj nadziei, zwracały się na wodę niechętne i jakby oburzone, że śmiano z nich żartować; to znowu w cienistych alejach, w których massy żółtego liścia strąconego wiatrem jesiennym spadały im na suknie i głowy, strojąc je dziwacznie i pobudzając je tém do żywej wesołości. Ale ów wiatr swawolny, który tak bawił szczęśliwe te dzieci, był powodem niespokojności dla troskliwej babki; skinęła więc na Bronisię, dając jej poznać, że czas powracać do domu.

Wracać, kiedy jeszcze tak wcześnie, kiedy promienie słońca jeszcze tak ciepłe, kiedy zabierało się na najpiękniejszy wieczór, ach! to okropnie! mówiła Bronisia. Ale żeby babcię uspokoić, rzekła daléj z przymileniem: to wezmę kapelusik i mantylkę, za to wszakże babcia pozwoli mi pójść z Urszulą, kupić podwieczorek dla moich ulubionych łabędzi. Urszula była to stara piastunka Bronisi, nadzwyczaj przywiązana do swej panienki, i która nigdy jej nie odstępowała, która i dziś podążała za nią ciągle, pomimo, że już jej nogi nie bardzo służyły.

Nie było powodu do odmówienia tak umiarkowanemu żądaniu; to też pani Dobrucka

nietylko że się na to zgodziła, ale dała w dodatku wnuczce nowiutką pięcio-złotówkę na koszta uczty łabędziej, pozwalając zachować jej resztę na pomarańcze i ciasteczka.

Szczęśliwa, że się jej tak udało, pobiegła Bronisia, wesoło podskakując ulicą ku bramie Botanicznego ogrodu, przy której siadać zwykły przekupki z różnemi łakociami, i minęło blisko półgodziny, zanim powróciła do babki; ale wtedy radość nie błyszczała już w jej oczach, zaszły one łzami, a kiedy pani Dobrucka zaniespokojona jej smutkiem i bladością, zapytała z czułością, coby jej było? wtedy Bronisia, która zdawała się wahać przez chwilę, odrzekła tylko: nie wiem babciu, cierpię, zimno mi.

Bronisia chociaż skończyła już lat trzynaście, tak była jeszcze drobną i wątłą, że zdawała się nie mieć jedenastu, co było przyczyną, iż ojciec jej p. Złotnicki, który od lat kilku był wdowcem i babka jéj macierzysta p. Dobrucka, któréj ona była jedyną odroślą, niepokoił się nią nad miarę, nie mając innych trosk i życzeń, prócz zdrowia i szczęścia ukochanego dziecięcia.

Łatwo więc pojmiecie trwogę i zmartwienie zacnej staruszki, kiedy usłyszała te słowa. Zdawało jej się w przestrachu, że widzi już biedne dziecię na śmiertelnej pościeli, że to nagłe zimno, na jakie się skarżyła, było zarodem niebezpiecznej choroby, podobnej do tej, jaka zabiła jej matkę.

Ale na pociechę tak ojca jak i babki skończyło się na strachu; a gdy Bronisia wstawszy nazajutrz równie świeża i zdrowa, prosiła o pozwolenie przejechania się z Urszulą do Belwederu, babka chętnie na to przystała, zastrzegając jedynie wzięcie ciepłej okrywki. Odtąd podobne przejażdżki powtarzały się niemal codziennie, gdyż Bronisia tak polubiła łabędzie, że się bez ich widzenia obejść więcéj nie mogła.

Wśród tego nadeszła zima, a z nią ustały wycieczki; i wyjąwszy nabożeństwa w niedziele i święta, na które uczęszczała Bronisia w towarzystwie poczciwéj Urszuli do kościoła Sgo Alexandra, (gdyż babkę reumatyzm zatrzymywał w domu), zresztą nie wychodziła nigdzie prawie. Dom jednak pana p. Złotnickiego obfitował w rozmaite przyjemności: przyjmowano tam raz w tydzień, a nadto nie było prawie dnia, ażeby kto z przyjaciół nie był na obiedzie, prowadzono w nim życie umiarkowane i ciche, ale miłe i swobodne — a że majątek p. Złotnickiego był więcéj niż wystarczającym, nie dopuszczając więc nagannego zbytku i próżnej wystawy, zaopatrywać go mógł w wszelkie wygody. To też Bronisia będąca pieszczotą ojca i babki, nie wyraziła nigdy życzenia, ażeby go wnet niezaspokojono, i czy to chodziło o książkę stosowną dla jej wieku, czy o sukienkę lub fraszkę jaką, która się jej podobała, zaraz jej ojciec czynił z nich podarunek.

Nagle jednak po owej opowiadanej przez nas przechadzce w Belwederze, objawiła się w Bronisi dziwna chęć, ażeby wszelkie drobiazgi dla siebie samej kupować, gdyż wszystko to, co jej kupowano, nie podobało jej się, nie było w jej guście; prosiła więc ojca usilnie, ażeby jej na ten cel jakiś fundusz przeznaczył, zapewniając, że nie nadużyje jego dobroci, i że się niewielką kwotą obejdzie.

Trudno się oprzeć prośbie ukochanego dziecka, aże obok tego pan Złotnicki nie widział nic nadzwyczajnego w podobnem żądaniu, uśmiechnął się więc tylko, szczęśliwy, że tem zadowolni swą córkę, i zapytał, czy 30 złotych miesięcznie wystarczy na jej drobne wydatki, przy względzie, iż bielizną, szwaczką i t. p. zajmować się będzie babka.

— A garderoba, a kapelusiki, a kołnierzyki? zapytała nierozważnie Bronisia.

— Jakto, odrzekł ojciec, nie chcesz więc mi żadnego udziału pozostawić?

Bronisia umilkła, bała się bowiem urazić ojca, ale widząc go uśmiechniętego, odzyskała całą swoję wesołość.

— Widzę ojcze, rzekła, że nie domyślasz się powodu, dlaczego pragnę sama podobne sprawunki załatwiać. Otóż ojczulku możesz zgadywać, ile ci się tylko podoba, dodała figlarnie.

— Istotnie nie zgaduję, odrzekł ojciec, przypuść mię więc do swej tajemnicy; to tak wielka rozkosz podzielać myśli i zamiary swego dziecka. Czyżbyś chciała mnie jej pozbawić?

— Boże uchowaj, zawołała z żywością Bronisia; chcę ci ojczulku miłą zrobić niespodziankę i dlatego nic ci nie powiem — ażebyś się jednak bardzo tem nie troszczył, nadmienię ci tylko wogóle, że pragnąc usposobić

się na dobrą i rządną z czasem gospodynię, chcę się wcześniéj obeznać z wartością pieniędzy.

Objaśnienie to zadowolniło pana Złotnickiego, uściskał on córkę z rozrzewnieniem tak widocznem, że się Bronisia aż zarumieniła, a jeżeli zapytacie mię, dlaczego? to wam odpowiem: dlatego, że skłamała.

Tak upłynął rok przeszło, Bronisia urosła, wypiękniała, zawsze równie dobra, słodka, pojętna; dostrzeżono wszakże jednę w niej wadę: Bronisia stała się skąpą, ale to tak skąpą, że to zaczęło na serjo dręczyć babkę i niepokoić ojca. Żadne z nich przecie nie śmiało jeszcze wypowiedzieć tego wręcz Bronisi, gdyż teraz nie była ona już dzieckiem; obawiali się oboje upokorzyć ją bezowocnie, sądzili przytem, że ją czas poprawi. Pocieszali się nadzieją, że ta mania zbierania pieniędzy była chwilowem tylko upodobaniem, którem się wprędce przesyci i postępowanie swoje odmieni.

Ale byli niemniej skłopotani w duszy, a ich wrodzona hojność przedstawiała im pod barwą tem smutniejszą ciągłe dowody wszelkiego rodzaju skąpstwa, jakiego dopuszczała się Bronisia, celem oszczędzenia kilku lub kilkunastu groszy ze swéj pensyjki; nie wydawała ona nawet talara jednego miesięcznie z pięciu, jakie jej ojciec przeznaczył.

Kiedy naprzykład przyniesiono jej nową suknię, a chodziło o szarfę do niej, to przeszukiwała w szufladach, odchuchiwała i odprasowywała pogniecione wstążki, dla zrobienia z nich szarfy, aby tylko kilku złotych na nową nie wydać.

W dzień Nowego-roku Bronisia ofiarowała na kolendę ojcu bardzo ładne pantofle krzyżową robotą, ale nieoprawione; babce zaś ślicznie wyhaftowane mankietki, ale bez koronki.

Ażeby dać córce uczuć tę niewłaściwość, a zarazem dać jej poznać, ile go podobne popostępowanie bolało, p. Złotnicki osądził najwłaściwszem zawstydzić ją swoją hojnością, i tym celem oprócz 10 rubli przeznaczonych na kupienie pięknego dla niéj kapelusza, dał jej pięć dukatów złotem w bogatej sakiewce. Oto masz, rzekł jej, zwrot kosztów ofiarowanej nam kolendy.

Słowa te mieściły w sobie przymówkę, gdyż tak pantofle jak i mankietki były wyhaftowane ręką Bronisi, bez grosza z jej strony nakładu; pojęła więc ona łatwo całą jej wagę, jednak rzecz dziwna, radość, jakiej doznała z otrzymania tak znacznej kwoty, złagodziła o wiele przykrość wyrzutu, i żadne słowo żalu nie wybiegło z jej serca na usta.

Nazajutrz stosownie do życzenia ojca poszła Bronisia w towarzystwie starej Urszuli kupić sobie kapelusz; wieczorem miał p. Złotnicki wyjść z nią na wizyty, zalecił więc córce, ażeby wybrała sobie jak najładniejszy, mniej bacząc na cenę. Ale zamiast zastosować się do tego życzenia, i kupić sobie kapelusz aksamitny podpięty kwiatami, jaki jej się bardzo w magazynie podobał, wybrała upornie kapelusz grodenaplowy jak najskromniejszy, bez ozdób i kwiatów; na jego widok zmarszczyły się brwi zacnej babki, kiedy go na jej rozkaz pokazano.

— I tyś dała za niego 10 rubli? odezwała się babka, patrząc bystro w twarz Bronisi.

— Ależ babciu! odrzekła, spuszczając oczy Bronisia, nie idzie tu o cenę, skoro mi w nim do twarzy.

— W twoim wieku każdy strój jest do twarzy, odrzekła p. Dobrucka ze smutkiem, ale co nie jest do twarzy młodej dziewczynie, to nieposłuszeństwo woli starszych, to...

— To skąpstwo! przerwał p. Złotnicki, który przy ostatnich słowach babki wszedł do pokoju; obrzydliwe skąpstwo, ta fatalna namiętność, która tak dalece zaślepiła już Bronisię, iż za nic waży śmieszność, na jaką się naraża, odrazę powszechną, jakiej się staje powodem, wreszcie boleść przywiązanego ojca, dodał ze łzami w oczach, upadając na stojące obok krzesło.

Na te słowa, tak długo tłumione w sercu ojcowskiem, które się z niego wydarły nakoniec, na widok tych łez boleści, które wycisnęła najlepszemu ojcu, biedna Bronisia zbladła okropnie, i rzucając się do nóg tego, którego tak srodze zmartwiła, zdołała zaledwo wyjąkać: przebacz mi ojcze! wyznam ci wszystko...i zemdlała.

Na odgłos dzwonka, którym szarpnęła gwałtownie pani Dobrucka, przybiegła stara Urszula, z jej pomocą zaniesiono Bronisię do jej pokoju. Przywołany lekarz oświadczył, że z powodu silnej gorączki należało zostawić

chorą w zupełnéj spokojności. Żadnego wzruszenia, dużo spoczynku, dodał, a cierpienie za parę dni ustąpi zupełnie.

Bronisia więc przez ten czas skazaną została na zupełne milczenie, a gdy przyszła do siebie, po wstrząśnieniu, jakiego doznała, p. Złotnicki uściskał ją z największą czułością, zapewniając, że przywiązanie, jakie miał dla niej, zdolne było dać mu zapomnieć o cięższych nawet błędach, aby tylko żal szczery nastąpił po nich—a że nie wątpi bynajmnéj o takowym z jej strony, puszcza więc chętnie w niepamięć to, co zaszło, i nigdy jej o tem więcéj nie wspomni. Bronisia poniosła rękę ojca do ust i ucałowała ją z wdzięcznością, dodając zcicha: wyznam ci ojcze wszystko, i żadnéj odtąd nie będę mieć dla ciebie tajemnicy.

To przyrzeczenie wyznania wszystkiego, po raz drugi uczynione, obudziło pewną obawę w sercu p. Złotnickiego, i myślał o niem przez dzień cały.

Nazajutrz była niedziela, p. Dobrucka z zięciem mieli śniadać w salonie, Urszula szykowała właśnie do stołu, kiedy p. Złotnicki chodząc w zamyśleniu po pokoju, zbliżył się do okna i patrząc na deszcz padający strumieniem, zawołał w roztargnieniu: mój Boże! co za czas, jakby go ten czas wyłącznie zajmował.

— To prawda, dodała Urszula, spojrzawszy w okno; biedna Anusia przemoknie do nitki.

— Co za Anusia, zapytała p. Dobrucka.

— Anusia, odrzekła Urszula, mała dziewczynka, o blond włosach, istny cherubinek, która nigdy nie opuszcza mszy, i staje zawsze obok naszej panienki.

— A czy rozmawiają z sobą? zapytała babka.

— Eh! one nie rozmawiają, one się modlą, odrzekła z miną obrażoną Urszula; *dzień dobry! dobry wieczór!* i koniec. Mimo to poczciwe dziecko kocha bardzo nasze panienkę, bo raz kiedy panna nie była w kościele z powodu kataru, to biedna mała przyszła do mnie w kościele cała we łzach i niepokoju, pytając, co się stało panience, czy nie chora, czy nie cierpi bardzo, czy nie ma niebezpieczeństwa? i t. p., czego już nawet i nie pamiętam.

— Ojciec i babka spojrzeli na siebie ze znaczeniem, a ta ostatnia odezwała się:

— Biedna Anusia, znowu będzie się dziś niepokoić. Powinnabyś Urszulo iść uspokoić ją, a nawet przyprowadzić tutaj; do kościoła Sgo Alexandra ztąd kilka kroków, a ja tak pragnę poznać protegowaną naszej Bronisi.

Powolna życzeniu pani wziąwszy wielki zielony parasol od deszczu, poszła Urszula do kościoła; w kwadrans może powracała, wiodąc z sobą małą dziewczynkę 11to lub 12to letnią, w grubych trzewiczkach, w sukience niebieskiéj perkalikowej, odznaczającej się czystością, i w czarnym merynosowym fartuszku—za chwilę wprowadziła ją za rękę do salonu.

Stanąwszy w obecności nieznanych sobie państwa, Anusia zarumieniła się po uszy, i zamiast iść daléj, cofnęła się ku drzwiom. Ale tyle było niewinności i prostoty w jej pięknej twarzyczce, iż wrodzona dobroć pani Dobruckie obudziła się zaraz w sercu.

— Cóż to moja mała, ozwała się łagodnie, boisz się mnie?—nasza dobra Urszula powiedziała mi, jak jesteś przywiązaną do mojej wnuczki; pragnęłam więc zaspokoić cię co do niej... czyliż cię to miesza?

Oh! nie pani, bynajmniej, odrzekła Anusia, zbliżając się do pani Dobruckiej; to tak boleśnie lękać się o tych, których się kocha.

P. Złotnicki uczuł się niemniéj wzruszonym rzewnością głosu, z jaką to wymówiła.

— Jak dawno znasz Bronisię? zapytał się zwolna, biorąc ją za rękę.

Anusia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Jak dawno? powtórzyła, ależ od owego wieczora, kiedy panna kupowała jedzenie dla łabędzi.

—Tak, tak, wiem o tem, podchwyciła babka, nic jednak nie szkodzi, że nam opowiesz to wszystko.

— Oh! z największą chęcią, ja tak lubię mówić o pannie. Otóż byłam przy bramie Botanicznego ogrodu, i drżałam tak mocno z obawy i wstydu, żem chciała po kilkarazy uciekać, ale pomyślawszy o matce, pozostałam.

— Cóż ci to, rzekła do mnie panna Bronisława, zbliżając się, czego tak płaczesz moja mała?

—Niestety! odrzekłam, bo moja matka taka chora, taka chora, mój Boże!

— Jakżeż więc, mówisz, że matka chora, a jesteś tu?...

— Wybiegłam z domu, nikomu nic nie mówiąc, ażeby poszukać doktora, który mieszka w ogrodzie u Głuchoniemych; kiedym tam przybyła, powiedziano mi, że doktór tylko co wyszedł do Botanicznego ogrodu, i że biegnąc prędko, mogłabym go dogonić.

— I cóż, nie dogoniłaś go?...

— Widziałam go, ale zdaleka, jak wchodził tą bramą; a kiedym chciała wybiedz za nim do ogrodu, to mię milicyant zatrzymał, mówiąc, że pewnie chcę żebrać, a żebraków do ogrodu wpuszczać niewolno.

Panna wtedy chciała wiedzieć, dlaczegom nie poszła do innego doktora; na co jej odpowiedziałam, że moja matka nie mogąc pracować od dwóch miesięcy, pozostała bez grosza, tak, iż nie było nawet za co chleba kupić, że poczciwa nasza sąsiadka dzieliła się z nami, i że z tej przyczyny musiałyśmy udać się do owego doktora, o którym wiedziałyśmy, że leczy ubogich darmo, i który zwykle odwiedzał matkę; tego właśnie, za którym biegłam napróżno, wtedy, kiedy matka umierała może dla zbraku opieki i ratunku. Zgadniesz pani łatwo, jak bardzo płakałam, opowiadając to wszystko, panienka płakała także.

— Masz, rzekła mi, dając pięcio-złotówkę, którą wyjęła z kieszonki, spiesz poszukać innego doktora. Jutro powrócę tu o tej samej godzinie, czekaj mię więc na tem samem miejscu.

— Cóż daléj, moje dziecko? rzekła babka.

— Potem panna Bronisława, pobiegła prędko do dobrej Urszuli, która czekała na nią na ławce po za bramą ogrodu.

Kończąc ten prosty opis, mała Anusia otarła kilka łez, które jéj wspomnienienie przywołało do oczu.

— Była to śliczna pięcio-złotówka, nowiuteńka, mówiła daléj; może ją panienka miała zachować, a jednakże mi ją dała.

— Cóż się stało nazajutrz? zapytał p. Złotnicki.

— Nazajutrz panienka przyszła, tak jak obiecała, i wtedy poszła ze mną do domu; matka dzięki Bogu miała się już nieco lepiéj, doktór powiedział, że choroba potrwa jeszcze długo, ale że niebezpieczeństwo wszelkie minęło. Była ona w tej chwili sama z poczciwą sąsiadką, utrzymującą się z szycia bielizny, i opowiedziała pannie, że miała mnie tylko jednę pozostawszy wdową, i że zwykle pracowałyśmy obiedwie z naszą sąsiadką, ja dla nauki, ona dla żarobku, ale że od czasu, jak się położyła w łóżko, w cierpieniach i bez pracy, byłaby po wiele razy chciała umrzeć, gdyby mnie była nie miała.

— Panna cieszyła ją jak mogła, i dała jej 15 złotych, odchodząc zaś, rzekła mi do ucha: przychodź co niedziela do Sgo Alexandra o dziewiątéj godzinie, będę tam czekać na ciebie.

— I cóż daléj, zapytała p. Dobrucka?

— Odtąd, rzekła Anusia nie opuściłam żadnej niedzieli, panienka także, wyjąwszy jednej tylko...

— A twoja matka, czy już wyzdrowiała?

— Żyje dotąd, a i to wiele, mówiła daléj Anusia, łzy wstrzymując; chciano ją przenieść do szpitala, ale byłabym została samą, nie zgodziła się więc na to.

—Biedna kobieta! odezwał się p. Złotnicki, z czegożeście więc żyły?...

— Z czego? odrzekła Anusia, z 25 złotych, które nam panna Bronisława daje co miesiąc. Bez niej, bez jej miłosiernego serca byłybyśmy pomarły z głodu niezawodnie, gdyż moja nauka nie skończyła się jeszcze, cóż więc zarobić mogłam?—czasem pięć, czasem dziesięć groszy, które mi dawała sąsiadka za robotę wykonywaną poza godzinami nauki.

Babka spojrzała na ojca, ojciec wyciągnał do niej rękę, lecz żadne z nich nie było w stanie słowa przemówić.

— Anusi zdawało się dostrzegać pewne nieukontentowanie w tem milczeniu, uprzedzając więc przez wrodzoną delikatność, jego jak sądziła przyczynę, dodała: Pewnego dnia, było to za pierwszym razem kiedy mi panna dała tak znaczną kwotę, matka nie chciała jej przyjąć, dopóki nie będzie mieć dowodu, że rodzina panienki zgadza się na to. Wtedy panna dała mi ten oto list do matki, który mię nie opuszcza—chceszże go pani przeczytać? i mówiąc to Anusia, podała pani Dobruckiéj list wnuczki, a ta przeczytała głośno, co następuje:

Nie troszcz się bynajmniej moja dobra kobieto o źródło tych pieniędzy. Gdyby one nie były wyłączną moją własnością, nie użyłabym ich za nic w świecie, nawet dla przyniesienia wam pomocy.

Kochana od ojca, dostaję od niego niewielką pensyjkę na moje przyjemności; a że największą dla mnie przyjemnością i rozkoszą jest być wam użyteczną, udzielając więc wam z niej co mogę, czynię to, co mi ojciec dozwolił, prosząc Boga, ażeby ci powrócił zdrowie jak najprędzéj—jeżeli moja kochana babka lub mój drogi ojciec zachoruje, wtedy wy z kolei modlić się za nich będziecie. Bądź więc spokojną i pielęgnuj twoje zdrowie, dla twej miłej Aneczki tak potrzebne.

P. Złotnicki słysząc te słowa, przyciągnął do siebie Anusię i pocałował ją w czoło. Pani Dobrucka obsypała ją pieszczotami, dała jej podarunek dla matki i za nim ją Urszula odprowadziła, przyrzekła odwiedzić ją wkrótce, może nawet nazajutrz wraz z Bronisią.

Niecierpliwy uściskać córkę p. Złotnicki, uchylił zwolna drzwi jej pokoju; Bronisia już nie spała i uśmiechając się, rzekła do ojca: siadaj tu papo! opowiem ci wszystko...

— Już tego nie potrzeba moje drogie dziecko, widziałem Anusię i wiem od niej o wszystkiem.

— I jutro pójdziemy do niéj, dodała babka, wchodząc do pokoju.

Oh! co za szczęście, nie masz mi więc tego za złe ojczulku? zapytała Bronisia.

— Owszem... i bardzo.... żeś taiła przedemną...

— To, com uczyniła?... ależ ojcze! twoja w tem wina. Nie mówiłżeś mi bardzo często, że świat jest pełen ludzi próżnych, którzy świadczą miłosierdzie tylko dla oka, żeby o nich mówiono, żeby ich za to poważano, sławiono. I uznałam, że masz słuszność, gdyż sama nieraz podobnie czyniłam, dając jałmużnę, gdy na mnie patrzano; pojęłam wtedy dopiero, że moja litość była tylko próżnością. Po rozmyśle poprawiłam się —zresztą zrobiłam to tylko, co ty czynisz, chciałam też mieć i ja moję tajemnicę.

— Jak to? rzekł zakłopotany p. Złotnicki, spuszczając oczy przed żartobliwem spojrzeniem Bronisi.

— Nieudawaj ojczulku, ty także masz swoją tajemnicę; twoją jest stary kaleka bez ręki i jego drobne dzieci, moją była mała Anusia i jej biedna matka.

— Patrzcie tę małą, jak zawstydziła swego ojca, rzekła babka, grożąc jéj palcem.

Oh! nie stawaj babciu po stronie ojca przeciwko mnie, odrzekła Bronisia, bo wiem więcéj niżeli potrzeba, ażeby cię także babciu zarumienić podobnie.

Wskutek tego wyjaśnienia powróciła cała otwartość i swoboda w zacny ten dom. Pan Złotnicki dokończył dzieła tak chwalebnie rozpoczętego przez córkę; dzięki jego szczodrobliwości biedna chora powróciła do zdrowia, a w sercu powiązanej Anusi zajaśniały radość i szczęście.

Opis praktyczny

Sposobu otrzymywania obrazów fotograficznych na papierze i szkle.

(Dokończenie, patrz nr 14 Czytelni).

—

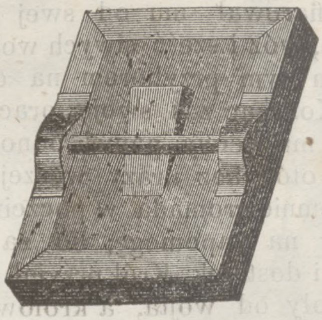
Z wyschnięciem szkła obraz odjemny jest już gotowy i można przystąpić do *odbijania* obrazu dodatnego na papier.

W tym celu naprzód należy wybrać papier klejowy, najpiękniejszy, o ile można tkanki jednostajnej. Taki papier trzeba stosownie przyrządzić, aby można otrzymać na nim obraz fotograficzny.

Przyrządzanie papieru składa się z dwóch działań: pierwsze polega na tem, aby napoić papier solą kuchenną rozpuszczoną w wodzie. To uskutecznia się, maczając go w roztworze 1 części soli kuchennéj w 20 częściach wody déstylowanéj przez 5 minut; potem przeciągu czasu papier wyjmuje się, zawiesza na sznurku, ażeby dobrze wysechł i następnie kładzie się jedną stroną na powierzchnię roztworu 1 części saletranu srebra w 8 częściach wody destylowanéj, zawartego w płaskiej równoległościennej miseczce szklanej, lub porcelanowej; w tej pozostawia się od 5 do 10 minut, potem, gdy powierzchnia papieru pokryła się nierozpuszczalnym chlorkiem srebra, papier delikatnie zdejmuje się, wiesza za róg w miejscu ciemnem, ponieważ już jest czułym na działanie światła.

Po jego wyschnięciu można przystąpić do

odbijania samego obrazu, które odbywa się w ramkach, których skład jest następujący:



Ramki właściwe wielkości takiej, aby z łatwością mogło być w nich umieszczone szkło z obrazem odjemnym. Po jego umieszczeniu przylepia się wodą gummową za dwa rożki papier do szkła stroną pokrytą chlorkiem srebra, do strony, na której znajduje się powłoka kolodionowa z obrazem odjemnym — następnie przykrywa się kilkoma kartkami papieru, a lepiéj kawałkiem aksamitu lub sukna, daléj deszczułką, zakłada się drążek i zasuwa klinikiem, aby przycisnąć papier preparowany do szkła; nie należy jednak przyciskać za mocno, ponieważ szkło z łatwością pęknąć może.

W ten sposób przygotowane ramki wystawia się na się na słońce; wtedy chlorek srebra w miejscach mniej zasłonionych od działania światła bardziéj czernieje, i naodwrót. Działanie można uważać za skończone, gdy po otworzeniu ramek zobaczymy w miejscach najciemniejszych kolor papieru ciemno-granatowy.

Obraz taki nie może być wystawiony na działanie światła, ponieważ chlorek nie zczerniony uległby dalszemu czernieniu, a zatem trzeba go usunąć; to odbywa się, zanurzając obraz w kąpiel rozpuszczającą. Ta kąpiel jest roztworem 1 części chlorku złota, 2 części chlorku srebra, 50 podsiarkonu sody (hyposulphis natri) i 500 wody.

Chlorek srebra powinien być świeżo przygotowany. Sposób otrzymania go jest bardzo łatwy; polega na prostem zmieszaniu roztworu saletranu srebra z roztworem soli kuchennej wtedy chlorek opada; pod postacią białej twarogowatej massy.

W kąpieli powyższej trzyma się obraz od 10 do 20 minut, stosownie do tego, jak dawno kąpiel przygotowaną była.

Tak niektóre roztwory np. cyanek potassium kwas pyrogalasowy, mogą służyć na raz tylko, tak znowu kąpiel saletranu srebra do szkieł i do papieru i kąpiel z podsiarkanu sody może służyć bardzo długo, lecz je czasami wzmacniać należy, dodając saletranu srebra lub podsiarkanu sody.

Po wymoknięciu obrazu w tej kąpieli wyjmuje go się i zostawia w wodzie miękkiej czystej, przynajmniej przez 12 godzin, ażeby wszystkie części rozpuszczalne, które mogły swoim wpływem obraz zepsuć, rozpuścić, a tem samem zupełnie usunąć.

Po wyjęciu obrazu z wody suszy go się, podkleja na twardy papier gummą arabską, nagęsto z wodą rozrobioną i jeżeli potrzeba, retuszuje, czyli poprawia ręcznie.

Pozostaje jeszcze objaśnić sposób robienia fotografi na szkle.

Postępowanie to jest prawie takież samo, jak przy zdejmowaniu obrazu odjemnego, z tą tylko różnicą, iż po wyjęciu go z ciemni optycznej wywołuje go się nie roztworem kwasu pyrogalasowego, lecz roztworem 50 części siarczanu żelaza, 10 części kwasu octowego krystalicznego 1 części kwasu siarczanego angielskiego i 500 części wody destylownej; obraz w przeciągu 1 do 2ch minut jest już dostatecznie wywołanym.

Po doskonałym obmyciu wodą oblewa się roztworem 1 części cyanku potassium (cyanhalium) ażeby usunąć przez rozpuszczenie w tym roztworze nierozłożony przez światło jodek srebra; następnie po drugim obmyciu wodą oblewa się roztworem 15 części sublimatu merkurjuszu 300 części wody i 1 część kwasu solnego, dla nadania mu koloru—to uskutecznia się w przeciągu 5 do 10 minut, myje po raz trzeci i po wysuszeniu lakieruje się jedna strona czarno, lub podkłada się kawałek aksamitu czarnego.

Tę dogodność przedstawiają obrazy na szkle nazywane *panotypami*, iż mogą być na poczekaniu wykonane, nie potrzebują żadnej poprawy ręcznej i są znacznie tańsze od fotografij na papierze.

Przykład podobnych obrazów widzieć można u pana Cholewickiego fotografa na

Krakowskiem-Przedmieściu, którego wystawka wisi na pałacu hrabi Potockiego.

Powrot.

Wkrótce po świetnej wyprawie wojennej pod Wiedniem, gdzie to polacy z królem Janem III Sobieskim wyzwolili Niemców z pod ciężkiego nacisku Turków i oswobodzili stolicę Wiedeń, król Jan ztąd też wesoły z całą rodziną przybył pod Lwów do wsi Jaworowa, bo lubił król w tej wiosce najczęściéj gościć, kiedy bawił na Rusi.

Po drodze w pochodzie tryumfalnym do Jaworowa zajeżdżał król na zamki panów i odwiedzał dwory szlacheckie, a gdzie kościół lub klasztor napotkał, słuchał mszy świętej, mówiąc: Nie schodźcie Panu, dawcy zwycięztw z drogi — i czynił wota a ofiary na podziękowanie za zwycięztwo Matce Boskiéj, którą za osobliwą patronkę w pacholęcym jeszcze wieku był sobie obrał, i do której jako Sodalis Marianus osobne odprawiał nabożeństwo.

Z każdą chwilą zmniejszał się wojenny orszak króla w tej podróży, bo rycerstwo spieszyło do zagród rodzinnych i jaki taki chciał się przed swoimi pochwalić, jako żyw a dobrze kościołowi i ojczyznie zasłużon powraca. Natomiast przybywała szlachta okoliczna, w czasie potrzeby w domach pozostała, powiększając codziennie orszak królewski. Błogo, uroczyście, radośnie jak błogosławieństwo ojcowskie rozchodziła się wieść zwycięztwa po kraju, zdawało się, że spokojne, ciche, srebrne fale Wisły zpod gór słały pieśni aż ku Warszawie. Cała Polska też spieszyła na powitanie zbawcy chrześciaństwa, a wszędzie głośny to był pochód, rzewne i serdeczne przyjęcie. Z chlebem i solą witały gromady po gościńcach pana, z kościelnemi chorągwiami i z święconą wodą wychodzili księża, bito po kościołach w dzwony, a z wałów po zamkach z moździerzy na cześć królowi Janowi, którego berłem była po staremu buława hetmańska.

Tak przybył król do Jaworowa, gdzie jeszcze tegoż samego dnia była uczta wielka we dworze. Pod sam już wieczór po obiedzie przyszła gromada z Podzamcza z chlebem i weselem.

Wójt Jaworowski miał śliczną oracyą do króla i ofiarował mu od swej gromady pług, bronę, wóz i sześć siwych wołów, które z całym tym przyborem na dziedzińcu już stały. Kończąc zaś swoję oracyą, rzekł: Ażeście się miłościwy panie! pono potracili na wojnie, otóż bez urazy waszej, daje tu wam przezemnie gromada w poczciwość statek kmiecy na zapomogę; bo za statkiem panie idzie i dostatek. Król przyjął chleb, narzędzia i woły od wójta, a królowa kołacz i wieniec z laskowych orzechów; i potem radosne rozpoczęto tańce.

W pierwszą parę poszła królowa z wójtem, w drugą król ze starościną wesela.

— A czyjażeś moja rybko? pytał król, biorąc ją do tańca.

— Kowalowa panie nasz! odpowiedziała.

Poszli tedy wszyscy w taniec, a za nimi pańskim wzorem pany z czeladzią, a panie z kmieciami, po kapeli z skrzypków niedzielnych. Gdy taniec obszedł dokoła, król Jan nabrawszy szczerej już ochoty rozradować ten ludek prosty, tak mu wierny, krzyknął już na swoję kapelę: nuż teraz raźnego — i wysunął się naprzód, wybijając to z krakowska, to znów z mazowiecka, a potem stanął przed królową i kapelą i zaśpiewał:

A zkądżeś to?— z Jaworowa.
A czyjaś to?— kowalowa!
Kowalowa z końca,
A chodźże do tańca,
Kowalowa, Bóg daj zdrowa!
Bóg daj zdrowa, kowalowa!

A po tańcu darował gromadzie wszelkie daniny a wójtowi i kowalowi sołtystwo, i pozwoliwszy ucałować swą rękę wiernemu ludowi, rozstał się z nim jak ojciec z dziećmi.

Od Redakcyi.

Z powodu, że otrzymujący pożyczkę z funduszu na zapomogi dla niezamożnych rzemieślników przeznaczonego, nie wszyscy w oznaczonych terminach pospłacali raty należne, Redakcya widzi się zmuszoną ostrzedz, że każdego, który pomimo całej z jej strony względności, nierzetelnym się okaże swojemu zobowiązaniu, z imienia i nazwiska drukiem ogłosi.

W drukarni J Unger.—Wolno drukować.—Warszawa d. 3 (15) czerwca 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*